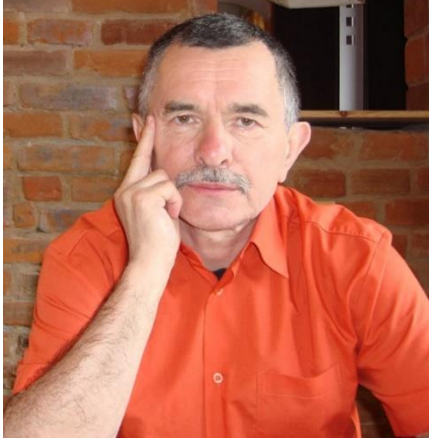


Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (80) (fragmenty)



wietrze portowych uliczek Antwerpii
wietrze smutno kołyszący
suche trzciny na jeziorkach Prowansji
wietrze który byłeś we mnie
a ja w tobie
nawet wtedy
gdy na chwilę
znajdowałem ukojenie
w ramionach prostytutek
i próbowałem cię rozgonić
promiennymi słonecznikami (...)

wietrze który nigdy nie opuściłeś mojej głowy
wprawiając
w coraz szybsze obroty
Wielką Karuzelę Wszechświata (...)

i Ty
wietrze ostatni
z trzaskiem otwierający mi
drzwi do Nieskończoności
który wypchnąłeś mnie
w czarną czeluść Nieba
szepcząc miłośnie do ucha
że śmierć
to najlepszy
niebieski środek lokomocji
gdy chcemy jak najszybciej przenieść
się w Gwiazdy

Amsterdam-Delft-Borzęcin, lipiec-sierpień
2012

Dzięki uporowi dni, konsekwencji godzin,
mrówczej pracowitości sekund i minut.

Dzięki wschodzącemu i zachodzącemu z
niezwykłą punktualnością słońcu, przychylnym
i nieprzychylnym wiatrom, sprzyjającej i
niesprzyjającej aurze.

Dzięki Bogu, dzięki starannie dopracowa-
nym Przypadkom, a także dzięki temu, że wy-
ginęły dinozaury, a uratował się jakiś bliżej
nieznany praszczurek ssakowaty.

Dzięki milionom, miliardom, trylionom,
bilionom i niezliczonej ilości sprzyjających i
niesprzyjających zdarzeń, okoliczności ko-
smicznych, historycznych i lokalnych.

Dzięki harmonii sfer niebieskich, dzięki
wszystkiemu, co się zdarzyło i nie zdarzyło,
dzięki zegarom i kalendarzom, dzięki obro-
tom kuli ziemskiej...

Na przekór pesymistom, wbrew katastro-
fistom, mimo że, pomimo wszystko i nie wia-
domo dlaczego...

Nastał dla mnie znów kolejny poranek 1
września (ale już 2012 roku) i zastał mnie w
Krakowie przy szkicowaniu wiersza o pew-
nym biednym siwobrodym mędrцу bogatym
w wyobraźnię, który mieszka po trosze w każ-
dym z nas:

Ucieczka z Jasnej Polany

Lew Tołstoj
pan bóg swoich powieści
panujący w nich wszechwładnie
pod różnymi postaciami

w życiu jednak
przyszpilony był
do jednego wcielenia
którego sam nie
akceptował

w końcu
nie wytrzymał
i uciekł z Jasnej Polany

podobno gdy się od siebie oddalał
podrygiwał skakał
śpiewał
na całe gardło piosenki
jakich nikt nigdy wcześniej
oprócz niego
nie słyszał

my
których wyobraźnia
roznosi
też czmychamy czasem
z naszych jasnych polan
każdy na sobie znaną
stację astapowo

żeby
jeśli nie da się inaczej
posłuchać przynajmniej
gwiżdżących koło nosa
na cały świat

dalekobieżnych metafor

KONIEC



Miroslaw Majewski

mistrz

w każdą niedzielę
z bogiem
z domu wychodzę
mój bóg ma postać orła i baranka
twarz gomółki i cyrankiewicza
sutannę księdza i mundur milicjanta
jest w symbolu krzyża i ptasiego mleczka w
witrynie geesowskiego sklepu
a ciasny kołnierzyk szkolnego mundurka
wprowadza mnie
na krzyżową drogę
życia

rodzice
zostają uwięzieni w domu
od wieków tam trwają przed telewizorem
w cierniowych koronach
swojej egzystencji
rozpuszczają swoją jaźń
w bonanie czterech pancernych
mama pali klubowe
ojciec giewonty z filtrem

wchodzę do kościoła
zupełnie obcego mi świata
z żalem rozrywającym serce
kiedy myślę o baranku uwięzionym w
skrzynce
małego księcia

robię znak krzyża
z nadzieją na cud
na choćby jeden promień z nieba
delikatny powiew ducha świętego
ale nic
i nic
wciśnięty między sacrum i profanum
widzę wyplakane oczy leśmianowskich
dziewczyn
nędzę życia bijącą się w pierś dwunastu
dzielnych braci
kakofonię dzwonek organ i pokornych
modlitw

podobno gdzieś
tam
hen
nie wiadomo gdzie czeka mistrz który
przywróci nam

wzrok słuch i mowę
robię znak krzyża
palcem zanurzonym w gorzkiej wodzie
z mamre

